

Wszystko jest recepcją. Pejzaże fenograficzne

Wyszukiwarka Biblioteki Narodowej notuje 651 wydanych w języku polskim książek ze słowem „recepcja” (i jego wariantami; termin wyszukiwania: „re-
cepc*”) w tytule. Sporo, tylko że wyniki obejmują lata 1921–2024 i nie wszystkie dotyczą recepcji literatury (ale i prawa, filozofii, muzyki, filmu, innych sztuk i nauk). Tymczasem książek, w których opisie katalogowym pojawia się „recepcja” – mają z nią coś wspólnego, choć nie anonsują tego w tytule – jest ponad 15 tysięcy. W artykułach recepcja jest proporcjonalnie bardziej wyeksponowana (spośród 12 639 tekstów jej dotyczących 2570 wzmiankuje ją w tytule; stan na 30 maja 2024), ale i tak wygląda na to, że badania nad odbiorem literatury rzadko bywają pozycjonowane jako cel sam w sobie; zasilają inne obszary refleksji, pojawiają się w tle przy okazji uprawiania historii literatury, literaturoznawczej interpretacji, krytyki literackiej i jej historii, badań spod znaku przekładoznawstwa, komparatystyki, literatury światowej czy krytyki genetycznej. Termin „fenografia”, którego słownikowa definicja to „nauka zajmująca się badaniem recepcji i oddziaływania utworów literackich” (SJP PWN), brzmi dumnie, ale w zasadzie pozostaje językową ciekawostką. A przecież recepcja to niezwykle rozległy obszar badawczy, dający się przemierzać według różnych azymutów, na przykład chronologicznego (recepcja synchro- i diachroniczna), geograficznego (rodzima i zagraniczna, z topograficznymi zbliżeniami), społeczno-kulturowego (recepcja fachowa/instytucjonalna – akademicka, krytyczna, szkolna – i niefachowa/prywatna – czytelnicza).

Być może dość słaba widoczność i niewielki prestiż badań nad recepcją w dyskursie literaturoznawczym wiąże się z osobistymi dyspozycjami, temperamentem, ambicjami i ego badaczek i badaczy; zamiast wołać: „Patrzcie, jak ja to czytam! jak interpretuję!”, żmudnie przeszukują skarbiec i śmietnik archiwum (w szerokim rozumieniu, obejmującym zasoby instytucjonalne i prywatne, uporządkowane kolekcje i pojedyncze artefakty, a także przepastną przestrzeń internetu), by zrekonstruować to, jak czytają inni. A czytają różnie, czasem niezgodnie ze znanymi nam dominującymi paradygmatami interpretacyjnymi, wybiórczo, instrumentalnie, niedokładnie, prymitywnie. Widać to szczególnie wyraźnie w przypadku zagranicznej recepcji dzieł, które w kulturze rodzimej trafiły do kanonu i obrosły akademickimi interpretacjami – to casus Schulza. Łatwo zdyskredytować zapośredniczony odbiór, obśmiać przeinaczenia faktograficzne i kuriozalne skojarzenia czytelników, wytknąć nieznamość odpowiednich kontekstów czy błędy przekładu, bo przecież to nie jest recepcja „Schulza prawdziwego”, tylko innojęzycznych imitacji. Radości z tego, że świat czyta Schulza, towarzyszy

często wyższościowe przekonanie, że czyta go źle, że nie oddaje mu sprawiedliwości – trochę na tej samej zasadzie, na jakiej radość z tego, że nasz człowiek został dostrzeżony w Hollywood czy Bundeslidze, mąci żal, że zagraniczne media niewystarczająco akcentują, że jest „nasz”, i kaleczą jego nazwisko. Zresztą podobnie jest z prezentystycznym lekceważeniem współczesnych Schulzowi odbiorców. Badania nad recepcją są ćwiczeniem z cierpliwości, uważności, a może i empatii.

Z tego zapośredniczenia zagranicznej recepcji bierze się jednak bezpośredniość innego rodzaju. Wyjście poza schulzoznawcze *hic et nunc* może być odświeżające przede wszystkim dlatego, że daje wgląd w niedostępny nam (w obiegu akademickim, w Polsce, w XXI wieku) tryb lektury prywatnej i/lub bezinteresownej, nienarażonej na krytykę (do czasu...), a zatem szczerzej (więcej o tym w bloku poświęconym marginaliom). Dotyczy to zarówno wielkich pisarzy, jak i zwykłych czytelników wystawiających Schulzowi opinie w internetowych księgarniach. Sebald (w tekście Katarzyny Lukas) bierze z Schulza to, co mu się przydaje, i zamiast powiedzieć coś o Schulzu, wykorzystuje go, żeby powiedzieć coś o innym autorze – takie zawłaszczające „przedmiotowe traktowanie” to przecież wspaniały wyraz uznania! Włoski wydawca i jego doradcy z Calvinem na czele (w tekście Anity Kłos) rozprawiają o Schulzu jak o wielce utalentowanym debiutancie – którym z ich perspektywy był. Czytelnicy chińscy (w szkicu Zofii Mądry) i wietnamscy (w szkicu Thu-Ha Truong) obcują z Schulzem wymęczonym po naprawdę dalekiej podróży między językami i kulturami (czasem z przesiadką w angielszczyźnie czy francuszczyźnie), z której tylko niektóre wątki jego dzieła (i biografii) wyszły bez szwanku. Już choćby te sondy wypuszczone w przestrzeń światowej recepcji Schulza – a mamy ich w tym numerze więcej i jeszcze więcej mieć będziemy w kolejnych – dowodzą pożytków z eksploracji tego terytorium.

ZZ

PS Jako że SR był łaskaw podziękować mi w swoim tekście (dołączonym do numeru już po powstaniu tego wstępu) za odkurzenie „fenografii”, mnie z kolei wypada ujawnić swoje źródło: wzmiankę o badaniach fenograficznych przeczytałam niedawno w rozprawie doktorskiej Joanny Sobesto (*Podwójny margines. Praktyki i polityki przekładu literackiego w dwudziestoleciu międzywojennym*, Uniwersytet Jagielloński, 2024), ona z kolei, o ile dobrze pamiętam, przejęła ten termin od Piotra Oczki.